**ANTOLOGIA**

**WYBÓR POEZJI**

# *1.Pytania zadawane sobie*

Co jest treścią uśmiechu  
i podania ręki?  
Czy nigdy w powitaniach  
nie jesteś daleka,  
tak jak bywa daleki  
człowiek od człowieka,  
gdy wyda sąd niechętny  
pierwszego wejrzenia?  
Czy każdą dolę ludzką  
otwierasz jak książkę,  
nie w czcionce,  
nie w jej kroju  
szukając wzruszenia?  
Czy na pewno, czy wszytko  
odczytujesz z ludzi?  
Wymijające słowo  
dałaś w odpowiedzi,  
pstry żart w miejsce szczerości-  
jak obliczysz straty?  
Nieziszczone przyjaźnie,  
lodowate światy.  
Czy wiesz, że przyjaźń trzeba  
współtworzyć jak miłość?  
Ktoś w tym surowym trudzie  
nie dotrzymał kroku.  
A czy w błędach przyjaciół  
twej winy nie było?  
Ktoś żalił się i radził.  
Ile łez obeschło,  
zanim przyszłaś na pomoc?  
Współodpowiedzialna  
za szczęście tysiącleci-  
czy nie lekceważysz  
pojedynczej minuty  
łzy i skurczu twarzy?  
Czy nigdy nie wymijasz  
cudzego wysiłku?  
Stała szklanka na stole  
i nikt jej nie spostrzegł,  
aż dopiero gdy spadła  
nieuważnym potrącona ruchem.  
  
Czy w ludziach wobec ludzi  
wszystko jest najprostsze?

# *2.Obóz głodowy pod Jasłem*

Na­pisz to. Na­pisz. Zwy­kłym atra­men­tem  
na zwy­kłym pa­pie­rze: nie dano im jeść,  
wszy­scy po­mar­li z gło­du. Wszy­scy. Ilu?  
To duża łąka. Ile tra­wy  
przy­pa­dło na jed­ne­go? Na­pisz: nie wiem.  
Hi­sto­ria za­okrą­gla szkie­le­ty do zera.  
Ty­siąc i je­den to wciąż jesz­cze ty­siąc.  
Ten je­den, jak­by go wca­le nie było:  
płód uro­jo­ny, ko­ły­ska próż­na,  
ele­men­tarz otwar­ty dla ni­ko­go,  
po­wie­trze, któ­re śmie­je się, krzy­czy i ro­śnie,  
scho­dy dla pust­ki zbie­ga­ją­cej do ogro­du,  
miej­sce ni­czy­je w sze­re­gu.  
  
Je­ste­śmy na tej łące, gdzie sta­ło się cia­łem.  
A ona mil­czy jak ku­pio­ny świa­dek.  
W Słoń­cu. Zie­lo­na. Tam opo­dal las  
do żu­cia drew­na, do pi­cia spod kory -  
por­cja wi­do­ku ca­ło­dzien­na,  
póki się nie oślep­nie. W gó­rze ptak,  
któ­ry po ustach prze­su­wał się cie­niem  
po­żyw­nych skrzy­deł. Otwie­ra­ły się szczę­ki,  
ude­rzał ząb o ząb.  
Nocą na nie­bie bły­skał sierp  
i żal na śnio­ne chle­by.  
Nad­la­ty­wa­ły ręce z po­czer­nia­łych ikon,  
z pu­sty­mi kie­li­cha­mi w pal­cach.  
Na roż­nie kol­cza­ste­go dru­tu  
chwiał się czło­wiek.  
Śpie­wa­no z zie­mią w ustach. Ślicz­ną pieśń  
o tym, że woj­na tra­fia pro­sto w ser­ce.  
Na­pisz, jaka tu ci­sza.  
Tak.

# *3.Kobiety Rubensa*

Wa­li­gó­rzan­ki, żeń­ska fau­na,  
jak ło­skot be­czek na­gie.  
Gnież­dżą się w stra­to­wa­nych ło­żach,  
śpią z otwar­ty­mi do pia­nia usta­mi.  
Źre­ni­ce ich ucie­kły w głąb  
i pe­ne­tru­ją do wnę­trza gru­czo­łów,  
z któ­rych się droż­dże są­czą w krew.  
  
Córy ba­ro­ku. Tyje cia­sto w dzie­ży,  
pa­ru­ją łaźnie, ru­mie­nią się wina,  
cwa­łu­ją nie­bem pro­się­ta ob­ło­ków,  
rżą trą­by na fi­zycz­ny alarm.  
  
O roz­dy­nio­ne, o nad­mier­ne  
i po­dwo­jo­ne od­rzu­ce­niem sza­ty,  
i por­to­jo­ne gwał­tow­no­ścią pozy  
tłu­ste da­nia mi­ło­sne!  
  
Ich chu­de sio­stry wsta­ły wcze­śniej,  
za­nim się roz­wid­ni­ło na ob­ra­zie.  
I nikt nie wi­dział, jak gę­sie­go szły  
po nie za­ma­lo­wa­nej stro­nie płót­na.  
  
Wy­gnan­ki sty­lu. Żebra prze­li­czo­ne  
pta­sia na­tu­ra stóp i dło­ni.  
Na ster­czą­cych ło­pat­kach pró­bu­ją ule­cieć.  
  
Trzy­na­sty wiek dał­by im zło­te tło,  
Dwu­dzie­sty - dał­by ekran srebr­ny.  
Ten sie­dem­na­sty nic dla pła­skich nie ma.  
  
Al­bo­wiem na­wet nie­bo jest wy­pu­kłe,  
wy­pu­kli anio­ło­wie i wy­pu­kły bóg -  
Fe­bus wą­sa­ty, któ­ry na spo­co­nym  
ru­ma­ku wjeż­dża do wrzą­cej al­ko­wy.

# *4.Na wieży Babel*

- Która godzina? - Tak, jestem szczęśliwa,  
i brak mi tylko dzwoneczka u szyi,  
który by brzęczał nad Tobą, gdy śpisz.  
- Więc nie słyszałaś burzy? Murem targnął wiatr,  
wieża ziewnęła jak lew, wielką bramą  
na skrzypiących zawiasach. - Jak to, zapomniałeś?  
Miałam na sobie zwykłą szarą suknię  
spinaną na ramieniu. - I natychmiast potem  
niebo pękło w stubłysku. - Jakże mogłam wejść,  
przecież nie byłeś sam. - Ujrzałem nagle  
kolory sprzed istnienia wzroku. - Szkoda,  
że nie możesz mi przyrzec. - Masz słuszność,  
widocznie to był sen. - Dlaczego kłamiesz,  
dlaczego mówisz do mnie jej imieniem,  
kochasz ją jeszcze? - O tak, chciałbym,  
żebyś została ze mną. - Nie mam żalu,  
powinnam była domyślić się tego.  
- Wciąż myślisz o nim? - Ależ ja nie płaczę.  
- I to już wszystko? - Nikogo jak ciebie.  
- Przynajmniej jesteś szczera. - Bądź spokojny,  
wyjadę z tego miasta. - Bądź spokojna,  
odejdę stąd. - Masz takie piękne ręce.  
- To stare dzieje, ostrze przeszło  
nie naruszając kości. - Nie ma za co,  
mój drogi, nie ma za co. - Nie wiem  
i nie chcę wiedzieć, która to godzina

***5.Spis ludności***

Na wzgó­rzu, gdzie sta­ła Tro­ja,  
od­ko­pa­no sie­dem miast.  
Sie­dem­ miast. O sześć za dużo  
jak na jed­ną epo­pe­ję.  
Co z nimi zro­bić, co zro­bić.  
Pę­ka­ją hek­sa­me­try.  
afa­bu­lar­na ce­gła wy­zie­ra ze szcze­lin,  
w ci­szy fil­mu nie­me­go oba­lo­ne mury,  
zwę­glo­ne bel­ki, ze­rwa­ne ogni­wa,  
dzban­ki wy­pi­te do utra­ty dna,  
amu­le­ty płod­no­ści, pest­ki sa­dów  
i czasz­ki do­ty­kal­ne jak ju­trzej­szy księ­życ.  
  
Przy­by­wa nam daw­no­ści,  
robi się w niej tłocz­no,  
roz­py­cha­ją się w dzie­jach dzi­cy lo­ka­to­rzy,  
za­stę­py mię­sa mie­czo­we­go,  
resz­ki orła-Hek­to­ra do­rów­nu­ją­ce mu mę­stwem,  
ty­sią­ce i ty­sią­ce po­szcze­gól­nych twa­rzy,  
a każ­da pierw­sza i ostat­nia w cza­sie,  
a w każ­dej dwo­je nie­by­wa­łych oczu.  
Tak lek­ko było nic o tym nie wie­dzieć,  
tak rzew­nie, tak prze­stron­nie.  
  
Co z nimi ro­bić, co im dać?  
Ja­kiś wiek mało za­lud­nio­ny do tej pory?  
Tro­chę uzna­nia dla sztu­ki złot­ni­czej?  
Za póź­no prze­cież na sąd osta­tecz­ny.  
My, trzy mi­liar­dy sę­dziów,  
mamy swo­je spra­wy,  
wła­sne nie­ar­ty­ku­ło­wa­ne ro­jo­wi­ska,  
dwor­ce, try­bu­ny spor­to­we, po­cho­dy,  
li­czeb­ne za­gra­ni­ce ulic, pię­ter, ścian.  
Mi­ja­my się na wiecz­ność w do­mach to­wa­ro­wych  
ku­pu­jąc nowy dzba­nek.  
Ho­mer pra­cu­je w biu­rze sta­ty­stycz­nym.  
Nikt nie wie, co robi w domu.

***6. Sto pociech***

Za­chcia­ło mu się szczę­ścia,  
za­chcia­ło mu się praw­dy,  
za­chcia­ło mu się wiecz­no­ści,  
pa­trz­cie go!  
  
le­d­wie rozróżnił sen od jawy,  
le­d­wie do­my­ślił się, że on to on,  
le­d­wie wy­stru­gał ręką z płe­twy ro­dem  
krze­si­wo i ra­kie­tę,  
ła­twy do uto­pie­nia w łyż­ce oce­anu,  
za mało na­wet śmiesz­ny, żeby pust­kę śmie­szyć,  
ocza­mi tyl­ko wi­dzi,  
usza­mi tyl­ko słyszy,  
re­kor­dem jego mowy jest tryb wa­run­ko­wy,  
ro­zu­mem gani ro­zum,  
sło­wem: pra­wie nikt,  
ale wol­ność mu w gło­wie, wszech­wie­dza i byt  
poza nie­mą­drym mięsem,  
pa­trz­cie go!  
  
Bo prze­cież chy­ba jest,  
na­praw­dę się wy­da­rzył  
pod jed­ną z gwiazd pro­win­cjo­nal­nych.  
Na swój sposób ży­wot­ny i wca­le ru­chli­wy.  
Jak na mar­ne­go wy­rod­ka kryształu -  
dość po­waż­nie zdzi­wio­ny.  
Jak na trud­ne dzie­ciń­stwo w ko­niecz­no­ściach sta­da -  
nie­źle już po­szcze­gól­ny.  
Pa­trz­cie go!  
  
Tyl­ko tak da­lej, da­lej  
choć przez chwi­lę,  
bo­daj przez mgnie­nie ga­lak­ty­ki ma­łej!  
Niech­by się wresz­cie z grub­sza oka­za­ło,  
czym bę­dzie, sko­ro jest.  
A jest - za­wzię­ty.  
Za­wzię­ty, trze­ba przy­znać, bar­dzo.  
Z tym kół­kiem w no­sie, w tej to­dze, w tym swe­trze.  
Sto po­ciech, bądź co bądź.  
Nie­bo­żę.  
Ist­ny czło­wiek.

***7.Miłość szczęśliwa***

Miłość szczęśliwa. Czy to jest normalne,  
czy to poważne, czy to pożyteczne -  
co świat ma z dwojga ludzi,  
którzy nie widzą świata?  
  
Wywyższeni ku sobie bez żadnej zasługi,  
pierwsi lepsi z miliona, ale przekonani,  
że tak stać się musiało - w nagrodę za co? za nic;  
światło pada znikąd -  
dlaczego właśnie na tych, a nie innych?  
Czy to obraża sprawiedliwość? tak.  
Czy narusza troskliwie piętrzone zasady.  
strąca ze szczytu morał? Narusza i strąca.  
  
Spójrzcie na tych szczęśliwych:  
gdyby się chociaż maskowali trochę,  
udawali zgnębienie krzepiąc nim przyjaciół!  
Słuchajcie, jak się śmieją - obraźliwie.  
Jakim jeżykiem mówią - zrozumiałym na pozór.  
A te ich ceremonie, ceregiele,  
wymyślne obowiązki względem siebie -  
wygląda to na zmowę za plecami ludzkości!  
  
Trudno nawet przewidzieć, do czego by doszło,  
gdyby ich przykład dał się naśladować.  
Na co liczyć, by mogły religie, poezje,  
o czym by pamiętali, czego zaniechano,  
kto by chciał zostać w kręgu.  
  
Miłość szczęśliwa. Czy to jest konieczne?  
Takt i rozsądek każą milczeć o niej  
jak o skandalu z wysokich sfer Życia.  
Wspaniałe dziatki rodzą się bez jej pomocy.  
Przenigdy nie zdołałyby zaludnić ziemi,  
zdarza się przecież rzadko.  
  
Niech ludzie nie znający miłości szczęśliwej  
twierdzą, że nigdzie nie ma miłości szczęśliwej.  
  
Z tą wiarą lżej im będzie i żyć, i umierać.

***8.Utopia***

Wy­spa, na któ­rej wszyst­ko się wy­ja­śnia.  
Tu moż­na sta­nąć na grun­cie do­wo­dów.  
  
Nie ma dróg in­nych oprócz dro­gi doj­ścia.  
Krza­ki aż ugi­na­ją się od od­po­wie­dzi.  
  
Ro­śnie tu drze­wo Słusz­ne­go Do­my­słu  
o roz­wi­kła­nych od­wiecz­nie ga­łę­ziach.  
  
Olśniewająco pro­ste drze­wo Zro­zu­mie­nia  
przy źró­dle, co się zwie Ach Więc To Tak.  
  
Im da­lej w las, tym sze­rzej się otwie­ra  
Do­li­na Oczywistości.  
  
Je­śli ja­kieś zwąt­pie­nie, to wiatr je roz­wie­wa.  
  
Echo bez wy­wo­ła­nia głos za­bie­ra  
i wy­ja­śnia ocho­czo ta­jem­ni­ce świa­tów.  
  
W pra­wo ja­ski­nia, w któ­rej leży sens.  
  
W lewo je­zio­ro Głę­bo­kie­go Prze­ko­na­nia.  
Z dna od­ry­wa się praw­da i lek­ko na wierzch wy­pły­wa.  
  
Gó­ru­je nad do­li­ną Pew­ność Nie­wzru­szo­na.  
Ze szczy­tu jej roz­ta­cza się isto­ta rze­czy.  
  
Mimo po­wa­bów wy­spa jest bez­lud­na,  
a wi­docz­ne po brze­gach drob­ne śla­dy stóp  
bez wy­jąt­ku zwró­co­ne są w kie­run­ku mo­rza.  
  
Jak gdy­by tyl­ko od­cho­dzo­no stąd  
i bez­pow­rot­nie za­nu­rza­no się w to­pie­li.  
  
W życiu nie do po­ję­cia.

***9.Chwila***

Idę sto­kiem pa­gór­ka za­zie­le­nio­ne­go.  
Tra­wa, kwia­tusz­ki w tra­wie  
jak na ob­raz­ku dla dzie­ci.  
Nie­bo za­mglo­ne, już błę­kit­nie­ją­ce.  
Wi­dok na inne wzgó­rza roz­le­ga się w ci­szy.  
  
Jak­by tu­taj nie było żad­nych kam­brów, sy­lu­rów,  
skał war­czą­cych na sie­bie,  
wy­pię­trzo­nych ot­chła­ni,  
żad­nych nocy w pło­mie­niach  
i dni w kłę­bach ciem­no­ści.  
  
Jak­by nie prze­su­wa­ły się tędy ni­zi­ny  
w go­rącz­ko­wych ma­li­gnach,  
lo­do­wa­tych dresz­czach.  
  
Jak­by tyl­ko gdzie in­dziej bu­rzy­ły się mo­rza  
i roz­ry­wa­ły brze­gi ho­ry­zon­tów.  
  
Jest dzie­wią­ta trzy­dzie­ści cza­su lo­kal­ne­go.  
Wszyst­ko na swo­im miej­scu i w układ­nej zgo­dzie.  
W do­lin­ce po­tok mały jako po­tok mały.  
Ścież­ka w po­sta­ci ścież­ki od za­wsze do za­wsze.  
Las pod po­zo­rem lasu na wie­ki wie­ków i amen,  
a w gó­rze pta­ki w lo­cie w roli pta­ków w lo­cie.  
  
Jak okiem się­gnąć, pa­nu­je tu chwi­la.  
Jed­na z tych ziem­skich chwil  
pro­szo­nych, żeby trwa­ły.